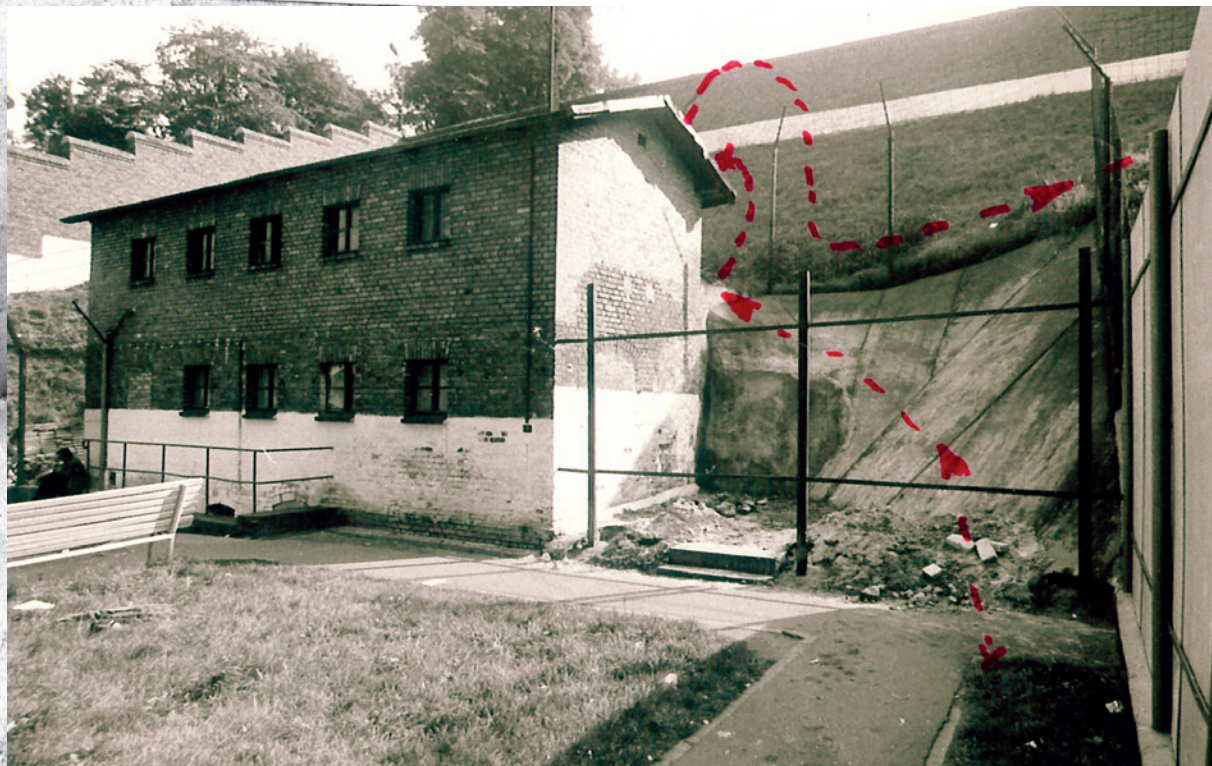


Bunt w bydgoskim więzieniu

Tomasz Kozłowski

W biały dzień, pod nosem milicji, z aresztu w Bydgoszczy uciekło 188 osób. Było to 5 września 1981 roku. Do dziś krążą na ten temat teorie spiskowe.



Fot. Archiwum Akt Nowych

► Trasa ucieczki Jacka Cieslewicza

Tego dnia w areszcie śledczym w Bydgoszczy przebywało 483 osadzonych. Czterej z nich byli podejrzani o zabójstwo, ponad 80 o napad rabunkowy, a kolejnych 130 o kradzież z włamaniem. Wśród nich był siedemnastoletni Jacek Cieslewicz, oskarżony o kradzież naczyń liturgicznych w jednym z bydgoskich kościołów.

Młody chłopak źle sobie radził w areszcie. Skarżył się, że strażnicy używali wobec niego przemocy. Nie wzbudzał także sympatii współwięźniów. Jeden z przebywających z nim w celi przestępców, Andrzej K., starał się nakłonić Jacka do ucieczki. W ten

sposób K. chciał przetestować reakcje strażników oraz ocenić szanse własnej ucieczki.

Tak się zaczęło

Kiedy 5 września osadzeni wyszli na spacerniak, Andrzej K. groźbą zmusił Cieslewicza do podjęcia próby ucieczki. Po kilku minutach spokojnego spaceru Jacek poderwał się, pobiegł po stromym betonowym podmurowaniu i wspinał się po siatce zabezpieczającej. Uciekał po dachach i przeskakiwał kolejne przeszkody. Więźniowie, którzy spostrzegli, co się dzieje, zaczęli głośno dopingować uciekiniera. Jackowi udało się dotrzeć na teren przylegającego do

aresztu ogrodu sądowego. W tym momencie stojący na wieżyczce strażnik oddał krótką serię w jego kierunku. Trafił Jacka w plecy, na wysokości jedenastego kręgu piersiowego.

Jacek przeżył, ale operujący go później lekarz stwierdził, że najprawdopodobniej do końca życia pozostanie kaleką. Osadzeni, którzy nie mogli widzieć finału całego zdarzenia, po usłyszeniu sygnału karetki mieli już pewność, że ucieczka się nie powiodła. Nie wiedzieli, czy Cieslewicz przeżył. To wydarzenie było impulsem, który rozpoczął bunt.

Więźniowie lżyli strażników, demolowali cele i wyrzucali przez okna

różne sprzęty. Strażnicy pobrali broń, zaczęli ściągać posiłki, zawiadomili komendę MO. Jednak sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Osadzeni starali się zwrócić uwagę przechodniów, których widzieli z okien wychodzących na ul. Wały Jagiellońskie. Prosilili o pomoc i krzyczeli: „ludzi mordują”, „biją” i „strzelają do nas”. W normalnej sytuacji takie prośby prawdopodobnie nie odniosłyby skutku. Jednak rok 1981 był pod wieloma względami szczególny, bo przecież rok wcześniej powstała „Solidarność”, która wchodziła właśnie w końcową fazę konfliktu z władzami. Za trzy miesiące zostanie wprowadzony stan wojenny.

W 1981 roku przez więzienia i areszty w całym kraju przetaczała się fala protestów i buntów. Więźniowie domagali się poszanowania swoich praw i poprawy warunków życia. W walce o prawa więźniów ważną rolę odegrali działacze „Solidarności”, Stowarzyszenia Pomocy Osobom Uwięzionym i ich Rodzinom „Patronat” oraz Komitetów Obrony Więzionych za Przekonania. To dzięki ich staraniom przeciętni ludzie zaczęli postrzegać więźniów także jako ofiary niewydolnego systemu penitencjarnego, a nie tylko jako przestępców.

Miedzy innymi z tych powodów wezwania bydgoskich aresztantów odniosły skutek. Pod aresztem zaczęli się zbierać ludzie, wśród których byli też więźniowie. Punkt krytyczny został przekroczony około 16.30, kiedy część z trzystu zgromadzonych osób zaczęła szturmować od zewnątrz bramę aresztu. Strażnicy więzienni nie mieli żadnej możliwości obrony, telefonowali za to z dramatycznymi apelami do komendy MO. Mimo to siły milicyjne wciąż się nie pojawiały. Pod areszt dotarli za to zaalarmowani działacze bydgoskiej „Solidarności”. Uformowali oni kordon odgradzający ludzi od budynku i zaprowadzili spokój.

W tym czasie sytuacja wewnątrz aresztu zupełnie wymknęła się spod kontroli. Jeden z aresztantów później napisał: „Najpierw zaczęło trzecie

piętro, wyszli na hall. Zaczęli [walić] krzesłami, koje rozebrali i kojami wywalili drzwi, że takie kopuły wyleciały... Jak te kopuły wyleciały, to wychodzili. Kiedy krzyknęli, że góra wolna, to wtedy dół zaczął. [...] Jak zobaczyli to oddziałowi, zaraz zamknęli dyżurki. Wtedy ci, co na kłódki zamykani byli, to je zaczęli odrywać, krzesłami walili w te kłódki. Kłódki pękały. Wydostali się”.

Wielka ucieczka

Strażnicy nie mogli brutalnie spacyfikować osadzonych ze względu na zgromadzony pod aresztem tłum. Obawiano się, że gdyby straż więzienna przystąpiła do akcji, ludzie po raz kolejny ruszyliby na bramy. Z tej sprzyjającej sytuacji skorzystali aresztanci, którzy zaczęli ustawiać w korytarzach barykady. Wielka ucieczka rozpoczęła się przed 19.00. Część więźniów systematycznie przebijiała się przez kolejne pomieszczenia, aż dotarła do magazynu mundurowego. Stamtąd, na linach ze związanych prześcieradeł, osadzeni po kolei ześlizgiwali się na teren przylegającego do aresztu podwórza sądu. Inna grupa przedostała się na dach łaźni, a stamtąd do ogrodu sądowego. Osadzeni dostali się do depozytów, w których znajdowały się cywilne ubrania, które ułatwiły ucieczkę.

Uciekający nie byli zatrzymywani przez nikogo. Ani przez strażników, którzy bali się interweniować, ani przez zgromadzonych ludzi – niektórzy im nawet pomagali. Co najdziwniejsze – na miejscu zdarzenia nadal nie było milicji.

Sytuacja pogorszyła się po wieczornym dzienniku telewizyjnym. Zamieszczono w nim materiał o buncie oraz o agresywnym tłumie szturmującym bramę aresztu, rzucającym butelki i kamienie. Relację bardzo uduchawiano – była to wyraźna manipulacja ze strony telewizji.

Po obejrzeniu dziennika kolejni mieszkańcy Bydgoszczy, którzy dotąd nie wiedzieli, co się dzieje, pospieszyli pod areszt. Krótko po 20.00 tłum liczył



Fot. Archiwum Akt Nowych

► Powyłamywane drzwi w jednym z korytarzy aresztu

już około 2 tys. osób. Z minuty na minutę sytuacja stawała się groźniejsza. „Solidarność” nie była już w stanie zapanować nad taką masą ludzką. Nie pomagały nawet posiłki ściągnięte z okolicznych zakładów. Z aresztu uciekali kolejni osadzeni. Na miejscu cały czas nie było milicji.

W tej sytuacji działacze „Solidarności” postanowili porozumieć się z przebywającymi wewnątrz aresztantami. Pierwszy kontakt nawiązali: Krzysztof Gotowski oraz Marek Koczwara. Następnie z osadzonymi kontaktował się Andrzej Piotrowicz. Aresztanci domagali się, by „Solidarność” była mediatorem między władzami a powołanym przez nich komitetem protestacyjnym.

Około 21.00 przed aresztem pojawiły się wreszcie siły milicyjne. Uzbrojona grupa ruszyła w stronę zgromadzonego tłumy, nawołując do rozejścia się. Ludzie nie wiedzieli, jak się zachować, część wpadła w panikę, niektórzy zaczęli uciekać. Wtedy przed tłum wystąpiła działaczka bydgoskiej ►

negocjacji. Osadzeni znaleźli się w sytuacji bez wyjścia.

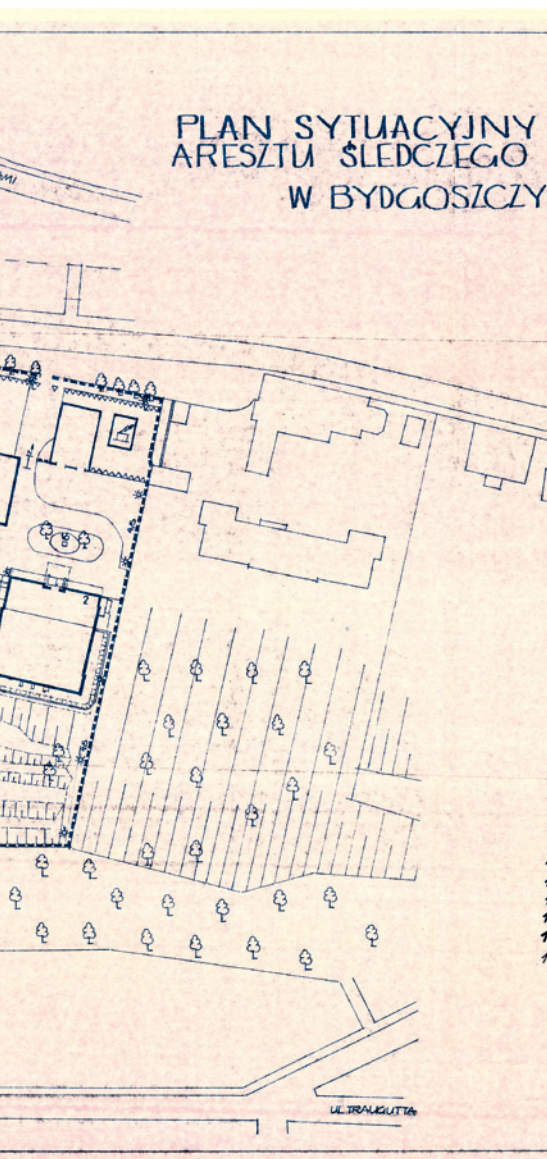
Nie doszło do szturm

Postawienie warunków nie do spełnienia było z punktu widzenia władz dobrym pomysłem. Pozwalało odpowiedzialność za użycie siły i ewentualne ofiary w dużym stopniu przerzucić na komitet protestacyjny osadzonych. Liczono też na to, że członkowie „Solidarności” opuszczą areszt, Jan Perejczuk i Mariusz Łabentowicz pozostali jednak w areszcie. Perejczuk wspominał po latach: „Ja nie wiem, czy bylibyśmy w stanie wyjść, gdybyśmy powiedzieli, że więźniów opuszczamy. Nie wiem, czy by nas puscili”.

Wszyscy wiedzieli, że zapadła decyzja o szturmowaniu aresztu. Na dziedzińcu i dachach widać było funkcjonariuszy SW wyposażonych w pałki, tarcze i hełmy. Perejczuk wspominał: „[...] tych więźniów by zmasakrowali. Pierwszy raz baliśmy się o własne życie”. Aresztanci „[...] uzbili się, połamali łóżka. Jeden owinał głowę prześcieradłem, zrobił turban, żeby go

nie uszkodzili. Wyrwał nogę od stołu, powiedział, że będzie walczył. Drugi wziął nożyczki, powiedział, że on tanio skóry nie sprzedaje, a na końcu się zabije. Inny się owinał w prześcieradło, oblał się rozpuszczalnikiem i powiedział, że się podpali”.

Osadzeni wzmacniali barykady oraz rozlewali pastę do podłogi, aby w momencie wejścia jednostki szturmowej



Fot. Archiwum Akt Nowych



► Budynek aresztu śledczego; w oknach wywieszono transparenty „Solidarność jest z nami”, „strajk okupacyjny”

wzniecić pożar. Część z nich wyszła na dach, skąd ostrzegała służby porządkowe i zgromadzony tłum, że w razie szturm aresztanci podpalą budynek i popełnią zbiorowe samobójstwo.

Naczelnik wzywał przez megafon do poddania się. Wywierano presję na znajdujących się w areszcie członków „Solidarności”. Namawiano ich telefonicznie, aby starali się skłonić osadzonych do pokojowego opuszczenia aresztu. Nie było to zadanie łatwe.

Jan Perejczuk wspominał, że osadzeni dopiero „[...] po długich namowach ►

Fot. Archiwum Akt Nowych

i perswazjach zgodzili się poddać, ale po urządzonym referendum [...]. Wreszcie, aby przyspieszyć sprawę, więźniowie zaczęli się ustawiać – ci, którzy chcą wyjść po jednej, ci, którzy zostają – po drugiej stronie. Trwało to bardzo długo. Musiałem wielu namawiać. Wreszcie, kiedy najbardziej agresywni zobaczyli, że są w mniejszości, zdecydowali się też na wyjście. Był to dosłownie ostatni moment”.

Osadzonych rozwieziono do innych aresztów i więzień. Większość uciekinierów wkrótce złapano. Niektórzy z nich sami zgłaszali się do biura „Solidarności” z prośbą, by asystowali im, gdy będą oddawać się w ręce MO. Jeden z uciekinierów niespodziewanie stawiał się w sądzie na rozprawie, która właśnie miała być odroczona z powodu... jego ucieczki. Do późnych godzin popołudniowych 8 września w ręce organów ścigania oddało się (lub wpadło) ponad osiemdziesięciu zbiegów. Do północy 13 września – już 144.

Kto zawinił?

Bunt, ucieczka aresztantów oraz odpowiedzialność za tę sytuację były przedmiotem sporów. Władze przystąpiły do ofensywy propagandowej. Winą za taki rozwój sytuacji obarczyło tłum. Rzecznik Służby Więziennej tłumaczył, że „użycie jakichkolwiek środków, czy to gazów, czy bezpośrednio broni palnej, mogło być niebezpieczne dla tłumu, który zgromadził się w pobliżu”. Innego zdania był wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej w Bydgoszczy, który w wywiadzie powiedział: „To jest rozpad państwa! Ogólny upadek dyscypliny i poszanowania! Jeżeli dookoła wałęsa się świętości, jeżeli ludzie czują się bezkarni, jeżeli buntownik ma oparcie w tłumie, a organa porządku boją się wystąpić, to jest rozkład państwa i nic innego”. Na pytanie dziennikarki „A co Pan by zrobił?”, odpowiedział: „Gdybym ja pełnił funkcję kierownika zakładu, poleciłbym użycie broni”.

Władze starały się winą obarczyć także działaczy „Solidarności”.

W „Trybunie Ludu” napisano, że „[...] w toku prowadzonych rozmów przedstawiciele »Solidarności«, poza postulatami więźniów, przedstawili warunki do dalszych rozmów, które ze względu na ich treść i charakter nie zostały przyjęte. W tym stanie rzeczy rozmowy zostały zerwane”. W rzeczywistości to władze sabotowały rozmowy.

Nieznany z nazwiska przedstawiciel władz więziennych mówił, że „[...] działacze »Solidarności« zjawili się na miejscu – jego zdaniem – zdumiewająco szybko, że zdumiewająco łatwo udało im się nawiązać kontakt z więźniami, że ci ostatni zdumiewająco chętnie zgodzili się na wszystkie propozycje mediatorów”. Wtórował mu anonimowy prokurator: „Skok Cieślewicza miał być sygnałem dla innych. Pewne rzeczy wskazują, że miało się to odbyć już w piątek. W każdym razie ludzie na zewnątrz byli uprzedzeni, czekali pod murem z ubraniami cywilnymi”.

Antoni Tokarczuk, ówczesny wiceprzewodniczący Zarządu Regionu Bydgoskiego NSZZ „Solidarność”, w udzielonym wywiadzie tak komentował pojawienie się teorii spiskowych: „Zarzut, że jest to prowokacja zorganizowana przez »Solidarność«, jest po prostu śmieszny. Cały zarząd i delegaci byli przecież poza Bydgoszczą na zjeździe, a zespół, który pozostał, ma trudności z normalną pracą. Miałby się jeszcze brać za takie sprawy? Nonsens. Byłoby to polityczne samobójstwo”. Z drugiej strony wskazywał, że teoria o prowokacji ze strony władz także nie była sensowna.

Jednak władze także musiały się tłumaczyć, wszyscy bowiem zadawali pytania o to, dlaczego milicja zwlekała tyle czasu z reakcją. Pojawiało się wiele wątpliwości. Niektórzy podejrzewali, że mogła to być prowokacja wymierzona w I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”, który obradował wtedy w Gdańsku.

Dodatkowy asumpt do poparcia teorii o prowokacji pojawił się po latach.

Okazało się, że jeden z dziennikarzy z Bydgoszczy, który brał udział w realizacji feralnego materiału dla Dziennika TV, był współpracownikiem SB. Brak jednak dowodu wydania mu jakichkolwiek poleceń przez przełożonych.

Bliższe przyjrzenie się raportowi milicyjnemu pozwala wytłumaczyć przyczynę spóźnionej relacji milicjantów. Wpłynęło na to kilka czynników. Po pierwsze, ZOMO składało się z funkcjonariuszy zawodowych pracujących w systemie ośmiogodzinnych zmian. Po ogłoszeniu alarmu trzeba było ściągać dodatkowych funkcjonariuszy z domów. Należy pamiętać, że była to wolna sobota. Do większej akcji siły porządkowe były gotowe dopiero przed 20.00.

Dowódcy czekali na uzyskanie zdecydowanej przewagi – wysłanie mniejszych sił mogło wręcz rozniecić zamieszki. Około 21.00 w rejonie aresztu pojawiły się mieszane patrole wojskowo-milicyjne. Dopiero wtedy główne siły wkroczyły do akcji. Wiktor Mikusiński – który w 1981 roku zakładał wolne związki zawodowe w milicji, był internowany, a po roku 1989 roku piastował stanowisko komendanta stołecznej policji – stwierdził, że w świetle raportu reakcja „była taka, jak okoliczności wymagały i pozwalały”. Dostrzegł „pewne elementy niepewności, wahania się, trochę bałaganu, a może zbytnej ostrożności”.

Także sam bunt nie był wydarzeniem wyjątkowym. W roku 1981 zanotowano w aresztach i zakładach karnych 276 zbiorowych wystąpień osadzonych. Protestowali oni przeciw złym warunkom odbywania kary. Także w wielu innych przypadkach w walce o prawa osadzonych wspomagali ich działacze „Solidarności”. Związkowcy uznawali, że każdemu człowiekowi, nawet skazanemu, trzeba zapewnić godną egzystencję. ■